

Od autora: W to lato, a dokładnie w lipcu powstała seria miniatur, do których przeczytania chciałbym Was teraz zachęcić: traktują o miłości, seksie, poszukiwaniu swojego miejsca w życiu, o tym, jak żyć, by to wszystko miało jakiś sens. Oto pierwsza z nich, niebawem pojawią się kolejne - zapraszam do wspólnej zabawy!

Dla Stacha, w dowód przyjaźni...

Jestem Mike i tego dnia ostro pokłóciłem się z żoną o moje picie.

I o coś jeszcze, ale o tym później.

Nigdy nie wylewałem za kołnierz, piję, bo lubię, uwielbiam siebie takiego, zawsze ciągnęło mnie do kobiet, fajek i alkoholu, w zasadzie od dwunastego roku życia, ale podobno każdy z nas przychodzi na świat jako ktoś tam i nie oszuka się prawdy o sobie, tego, co gdzieś w mózgu zostało zapisane w momencie narodzin – tak powiadają mądrzy ludzie i ja im wierzę.

Tego dnia zmyłem się z domu i poszedłem jak zwykle w takich sytuacjach napić się czegoś mocniejszego do baru „U Smukłego Steve’a”, gdzie miałem zamiar zalać porządnie pałę, i potem, w środku nocy, kiedy Michelle będzie już spała, wrócić na chatę i zasnąć snem sprawiedliwych.

To był dobry lokal, żaden tam cienki mięksisz, nikt tu nie wszczynał bójek, nikt nie wybijał kolegą okien, ani nie oddawał moczu na ścianę – miejsce miało mięsień i dlatego tam wracałem, kiedy padło o jedno słowo za dużo, moje lub jej, bo nie miała ze mną lekkiego życia, choć los pobłogosławił nam pięknymi jak aniołki dziewczynkami, radością, jakiej nie zaznał nigdy żaden singiel, więc jednak trzymaliśmy się siebie, pomimo tego, że czasem był niezły dym.

Kiedy dotarłem do baru, wnet zauważyłem, że nie ma prawie gości, a zatem czekał mnie zapewne samotny wieczór przy następnych kolejkach whisky, które z ojcowską radością w oku nalewać będzie mi Steve, i znów zapyta, co tam w domu, a ja powiem, że wszystko gra, że mam jak u Pana Boga za piecem, a moi najbliżsi żyją w idealnej harmonii ze mną.

Znałem na pamięć jego pytania, a on moje odpowiedzi, kto tu bardziej udawał, nie wiem.

Ale na kurtuazji i trzymaniu języka za zębami jeszcze nikt przynajmniej nie przegrał i to pewnie sprawiało, że rozmowa gładko nam płynęła.

Usiadłem na barowym stołku i zamówiłem whisky.

Tego lipcowego wieczora kurewsko mnie suszyło, czasem tak mam.

Po chwili sącząc ją, dostrzegłem kątem oka dziarskiego staruszka, który sprężystym krokiem wszedł do lokalu i natychmiast, jakby było to częścią większego planu, przysiadł się do mnie.

- O Boże, będzie mi pieprzyć o swoich hemoroidach i notorycznych biegunkach... - pomyślałem naprędce, lecz jakże się wtedy myliłem, ja, który zawsze stawiałem na swoim.

- Czy można się przysiąść, młody człowieku? – zapytał wesoło.
 - Jasne. Zapraszam – stęknąłem.
 - To samo, co ten pan, poproszę – rzekł do Steve’a.
 - Się robi – odparł szef, nalał mu kolejkę, i kiedy już ją dostał, najpierw powąchał trunek, potem dopiero posmakował, a na koniec powiedział:
 - W takich chwilach człek czuje się mężczyzną. Jestem Anthony – przedstawił mi się tak szybko, jak szybko znalazł się na sąsiednim stołku.
 - Wołają na mnie Mike. Miło pana poznać.
 - Mów mi po imieniu. Przy was się odmładzam.
 - Spoko. Masz to u mnie.
 - Nie w domu? Nie z rodziną? W sobotni wieczór?
 - Ano tak się złożyło, że nie – odpowiedziałem.
 - Chciałbym być na twoim miejscu, Mike, cholernie bym chciał, ale...
 - Co ale?
 - Czasem twoja złota szansa znika wraz z wiosennym wiatrem...
 - Nie bardzo kumam.
 - O tym potem. Jesteś szczęśliwy? Mam na myśli, tak ogólnie, w życiu i tak dalej?
 - Nie wiem – to była szczerza odpowiedź, bo faktycznie miałem pewien zamęt w tej kwestii.
- Wierzę, że do przyszłego lata wszystkie wojska, które w tej chwili na całym świecie prowadzą wojny, złożą broń, zakończą bezmyślną spiralę przemocy, zapoczątkowaną przez obłąkanych generałów. Żołnierze nie nienawidzą wroga, jest im to wpajane. Wiem, że, kiedy już karabiny spoczną na ziemi, podejść do siebie i powiedzieć: „Kocham cię, człowieku, kocham cię takim, jaki jesteś”. Tak musi być, bo ten świat się nie ostoï. Nienawiść to zbrodnia przeciw ludzkości.
- Mądrze gadasz, Anthony, ale to trochę utopijne – powiedziałem. – Wojny zawsze były i będą. Ktoś musi kogoś zabijać, tak samo, jak dawać życie.
- To nie to samo. Pomyśl, że pewnego dnia bogacz, zawstydzony swym luksusem, wyjdzie na ulicę i podejść do żebraka i powie: „Chodź, bracie, ja mam za dużo, tak dużo, że tego nawet nie ogarniam, ty nie możesz przymierać tu głodem. Usiądź ze mną przy stole i bądź moim gościem. Zamieszkać ze mną, jeśli dotąd spałeś na chodniku. Kocham cię, człowieku”.
- Hm... może i tak będzie. Bogaczom zawsze może odbić. Chociażby z powodu wyrzutów sumienia? Coś tak mi się widzi.
- I nadejdzie taki dzień, kiedy z więzień wyjdą złoczyńcy i wtopią się w społeczeństwo, stając się jego integralną częścią, odnajdując się w życiu rodzinnym, wchodząc na drogę uczciwości, prawości, zapominając o niesławie, w jakiej dotąd przyszło im żyć. Usuną tatuaże, wyrzucą noże, odstawią kokainę. Wierzę też, że usiądą przy piwie z tymi, którzy ich kiedyś sądzili i powiedzą” „Kocham cię, człowieku, dziękuję ci, że dałeś mi lekcję życia”.
- Masz bujną fantazję, Anthony. Piłeś już coś dziś?
- Piję tylko jedną whisky dziennie. Wiem, co mówię. Posłuchasz dalej?
- Pewnie.
- Kochasz i jesteś kochany? – zapytał nagle, świdrując mnie brązem swoich oczu.
- A bo ja tam wiem – palnąłem jak łysy grzywą o kant kuli.
- Bo tak łatwiej. Bez miłości nie przejdiesz przez życie jako mężczyzna, będziesz cieniem samego siebie. Tak to wszystko jest urządzone, że kochanie daje nam powietrze, którym oddychamy, i jak tego braknie, schniesz jak niepodlewany kwiat.

- Dobrze powiedziane – przytaknąłem, pijąc trzecią kolejkę.
- A co robisz dla swojej miłości? – zapytał prosto z mostu.
- Nic. Pozwalam się kochać.

- Kiedy dałeś swojej kobiecie prezent i powiedziałeś, że to dlatego, bo ją kochasz?
- Chyba jakieś dziesięć lat temu.
- Niedobrze, Mike...
- Czemu? Jakoś się dogadujemy, mamy dwie, wspaniałe dziewczynki.
- Hej, dbaj o swoją różę, bo może pokazać ci kolce.
- Co masz na myśli?
- Pewnego dnia możesz zostać sam, tylko ze wspomnieniami.
- Ja tylko za dużo piję.

- Kiedy powiedziałeś jej, że ją kochasz?
- Też jakieś dziesięć lat temu.
- Słabo, oj, słabo, Mike... - stęknął Anthony. – I możesz tak żyć?
- Przyzwyczailem się.

- Kiedy zabrałeś swoją kobietę na romantyczny spacer i zapewniłeś ją, że nigdy jej nie opuścisz?
- Jakoś też tak w tym czasie.
- Małe rzeczy znaczą wiele. Słowo, gest, muśnięcie dłonią, pocałunek. Nikt ci o tym nie powiedział?
- Mój stary był pijakiem, a matka dziwką.
- To znaczy, że odnalazłeś miłość przy żonie?
- Tak, zgadza się, dopiero przy niej.
- Nie traktuj jej jak lalki. Ona ma uczucia i czeka na twoje.
- Nasze uczucia sprowadzają się do zarabiania na czynsz, żarcie i na dziewczynki.
- Zdaje ci się. Może twoje, nie jej, na pewno nie jej. Kobiety mają inną umysłowość. Nigdy tego nie odkryłeś?
- Już ci mówiłem, że ojciec był pijakiem...

- A córki? Czy wobec nich jesteś taki oszczędny w okazywaniu uczuć?
- Trzymam je krótko, żeby nie poszły w ślady babci. Mam głos decydujący.
- To nie jest metoda. Kiedy ostatnio kupiłeś im jakieś zabawki i powiedziałeś, że je kochasz, że są dla ciebie całym światem?
- Nie pamiętam.
- Nie dziwi cię, dlaczego o tym wszystkim gadamy? – Anthony nagle zapytał tak, jakby chciał dać magiczną odpowiedź.
- A, trochę... - wybełkotałem, pijąc następną kolejkę.
- A nie pomyślałeś, że ja sączę wciąż tę samą whisky, podczas gdy ty wypiełeś już trzy?
- Tylko ty mi nie mów, jak żyć, ok., Anthony?

Wtedy spowaźniał, spojrzał na mnie spod siwych, krzaczastych brwi i rzekł:

- Był kiedyś taki facet, co nie liczył się ani z kolegami, ani z sąsiadami, ani z kobietami, które namiętnie się w nim zakochiwały. Ignąc do niego bezrozumnie jak ćmy do światła.
- Zmieniał je jak rękawiczki, jak zużyte buty, tylko po to, by mieć nowe.
- Pewnego dnia założył rodzinę i chciał, by wszystko grało jak w wojsku, rozkaz ma być wykonany i basta.
- Zakładał sobie, że przez pierwsze lata wytresuje sobie żonę, potem dzieci, a za, powiedzmy, piętnaście lat

się otworzy, powie miłe słowo, przytuli, pocałuje. Ale za piętnaście lat, bo wcześniej musi mieć tak, jak sobie zaplanował. Grunt to posłuszeństwo.

I mijały lata, a on był zimnym, oschłym tyranem, w nienagannym, szarym garniturze, z drogim krawatem, jadł idealne obiady gotowane przez jego idealną żonę, potem także i synów, jeździł wielkim samochodem i czuł się bogiem, wszechmogącym bogiem w domu, w którym rozdał wszystkie karty i gdzie nikt nie wchodził mu w paradę. Lecz nic nie trwa wiecznie, nieprawdaż? Właśnie dojrzał do tego, by powiedzieć żonie, że ją kocha, a synom, że są dla niego jak diamenty. Kupił jej najdroższe kwiaty, a im po złotym zegarku. To było w 1963 roku, zaraz po tym, jak odstrzelili Kennedy'ego w Dallas. Zaraz po tym. Był cholernie podekscytowany po tych piętnastu latach wiecznych sprawdzianów i prób – teraz mógł im zaufać, teraz i sobie ufał. I wiesz, co się stało?

- Jestem ciekaw, Anthony, naprawdę mówię szczerze.

- Ano tego dnia pożyczył żonie swój luksusowy samochód, by zabrała chłopców nad rzekę, na pstrągi, i wtedy...

- Co wtedy?

- Tam, pod Weir Smilin' rozjechała ich ogromna, fioletowa ciężarówka. Ciała zostały zmiażdżone. Kierowca miał podobno ponad trzy promile alkoholu, ledwie rozumował.

- O rany, zabiłbym skurwysyna.

- Potem ojciec zrozumiał, że zmarnował życie i sobie, i im. Czemu tym, których kochamy, dajemy kwiaty już po śmierci? Czemu nie za życia? Cóż trupowi z kwiatu? Z wielkich wieńców na nagrobku? To śmieszne, to żałosne.

- Co on zrobił potem?

- Miał jeszcze ojca. Zaczął wysyłać mu na urodziny najnowsze wędki i przynęty.

- Ojciec się cieszył?

- Tak, ale nie on.

- Dlaczego?

- Bo piętnaście lat zabrał czas i teraz był zwykłym gównem. Miał pięćdziesiąt pięć lat, wielki brzuch, nadciśnienie, refluks, cierpiał na chroniczną bezsenność zimą i łysiał. Robił się coraz brzydszy z każdym dniem, i wiedział też, że nigdy już nie będzie nikomu bogiem. Nie założył kolejnej rodziny, samotność przyszła, by pozostać. Na dobre. Chyba do końca. Dziś jest starcem, pogasił już po wszystkich światła.

- Kim był ten facet? – zapytałem bełkotliwie, sącząc następną kolejkę.

- Ja nim jestem. To ja przesrałem wszystko. Chodzę na cmentarz pogadać z nimi, lecz nikt nie odpowiada. To już tyle lat, a oni nawet nie chcą mi się przyśnić. Proszę Boga, by pozwolił mi ich zobaczyć chociaż w snach, jednak On ma mnie gdzieś.

- Hej, Anthony, na mnie już chyba czas – coś w głowie zapaliło się nagle i w całym pijackim otępieniu postanowiłem opuścić bar, jak najszybciej, natychmiast wrócić do siebie.

Do siebie...

- Mike, rzadko tu wpadam, ale zrób coś dla mnie, jeśli nie możesz sobie tego dać: powiedz swoim najbliższym, że ich kochasz, zrób to jeszcze dziś, w tym tygodniu, bo może być za późno. A wtedy będzie ci głupio.

Spojrzałem na niego, położyłem rękę na jego kościstym, smutnym ramieniu, miał bardzo spokojne, ciche oczy, takie, jakie widuje się u owiec, które bezwiednie idą tam, gdzie je poprowadzą.

Zapłaciłem Steve'owi za picie i zygakiem wyszedłem z baru, po drodze rzucając kieliszkiem o ścianę na szczęście – czy ktoś mi mógł tego odmówić?

Za winklem wyrzygałem się.

Obok jakaś siwa starowinka siedziała z lichymi, tanimi kwiatami.

Miała na twarzy wypisaną dobroć.

- Po ile? – zapytałem.

- Ile dasz – odpowiedziała.

Wygrzebałem z kieszeni dziesięć dolców, dałem jej i zabrałem wszystko, co miała.

- Świat lubi zakochanych – uśmiechnęła się na odchodnym. – Świat zawsze im zaufa, tak to chyba jest.

- Tak, proszę pani – powiedziałem, i ruszyłem z trudem do domu.

Cykl: *Dawno temu w lipcu*

13 lipca 2014

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

mike17, dodano 31.08.2014 10:29

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.